

„Igraszki trafu i miłości”

TO UROCZE lekkie i misterne cacko, liczy sobie już przeszło 200 lat. Jakimż mistrzem słowa był Piotr Carlet Chamblain de Marivaux, skoro jego komedia o blażej, polegającej tylko na zabawnych nieporozumieniach treści, przetrwała dwa wieki nie starzejąc się zupełnie. Warunkiem powodzenia komedii Marivaux na scenie jest mistrzowskie prowadzenie dialogu. Słowa muszą skrzyć się, błyszczeć i perlić. Na scenie wrocławskiej większość dialogów przebiega w tym błyskotliwym tempie: słowa krzyżują się jak giętkie klingi floretów, a sytuacje podążają za igraszką słów. Są jednak mo enty, kiedy aktorzy zapominają o prawach rządzących w teatrze Marivaux, kiedy nie dowierając sugestii rytmu i melodii, szermierki słów, zaczynają celebrować uczucia i przeciągać psychologiczne pauzy. Wówczas igraszki trafu zamieniają się w wyrozumowane pociągnięcia, a igraszki miłości — w melodramacik.

Nieporozumienia te obserwujemy w wielu momentach dialogów Sylwii z Dorantem. Bogusław Danielewski ma wszelkie dane ku temu, aby wcielić się w idealnego kochanka z komedii Marivaux: szlachetna aparycja, miękkie brzmienie i giętkość głosu, gładki gest predystynują go na świętego Doranta. Cóż z tego, kiedy są chwile, gdy młody aktor stara się zalety te zbyt wyeksponować, kiedy wyraża uczucia z nie szczerym romantyzmem. Wówczas Dorant zamienia się w płacznego Werthera, następują zahamowania tempa dialogu i dłużyzny, których nie mogą rozładować riposty słowne, ani urok Sylwii-Zofii Komorowskiej. Bo Komorowska w roli Sylwii jest naprawdę urocza, finezyjna i pełna wdzięku. Nie dziwię się Dorantowi, że stracił dla takiej Sylwii głowę, nawet gdy ją ujrzał w fartuszkach Lizetty.

Nie równa jest też i druga para kochanków: Lizetta-Paskin.

Małgorzata Lorentowicz, nawet kiedy przesadza w mimice i niezadradności gestu, utrzymuje się zaw-

szą w ramach stylu komedii Marivaux. Tekst w jej ustach miernie się tysiącem odcieni, a dowcip jest cienki i subtelny. Natomiast żywiłowy humor Ryszarda Michalaka rozsadza ramy przedstawienia. Jego Paskin jest bardzo komiczny. Pokładamy się od śmiechu, słysząc „wniosłe i wykwintne” perory Michalaka i widząc niedźwiedziową „wytworność” jego gestu. Równocześnie jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że postać ta zaplątała się tu niebacznie z włoskiej komedii dell'arte.

Pozostałe postacie sztuki nie mają wpływu na rozwój akcji. Orgon i Mario są raczej widzami tej uroczej

maskarady. Toteż ani Władysław Dewoyno, ani Bernard Michalski nie mieli pola do popisu. Czas „najwyższy, aby Dewoyno otrzymał w naszym teatrze jakąś interesującą dramatyczną rolę, inaczej talent jego skostnieje w postaciach sympatycznych rezeronów. Warto by też pomyśleć znów o obsadzeniu Michalskiego w roli, która by mu tak odpowiadała, jak Sulkowski.

Leonia Jabłonkówna włożyła w spektakl dużo inwencji reżyserkiej. Dobrze jest zamknięcie spektaklu klamrą umowności od wstępnego zegarowego kurantiku po stylowy taniec w finale. Sytuacje rozwi-

ają się na scenie naturalnie, są dowcipne i błyskotliwe. Reżyserowi nie udało się jednak przełamać indywidualności aktorów, którzy chwilami — jak już mówiłem — rozbijają konstrukcję i rytm spektaklu.

Scenografia Jadwigi Przeradzkiej tym razem mnie nie zachwycała. Rozplanowanie schodów i górnego krużganku przypomina niedawną dekorację do „Dożywocia”, balustrada za drzwiami niczym się nie tłumaczy, a wewnątrz posiada zbyt wiele zakamarków. Kostiumy Lizetty i Paskina w II i III akcie są jaskrawo podkreślają maskaradę.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.